



WŁADYSŁAW OLENDZKI

[Warszawa,] 2 czerwca 1945 r.

Władysław Olendzki

Warszawa, ul. Mińska 9 m. 129

Wiadomym jest, że Oświęcim to mordownia, gdzie miliony ludzi znalazły swój grób w krematorium. Wiele jeszcze rzeczy pozostaje do wyświetlenia. Jedną z tych jest jeszcze nie opisane życie szpitala w obozie, w tak zwanym *Krankenbau* (budowie chorych). Termin, który na wolności nigdy nie znalazł zastosowania. Chcąc opisać wszystkie oddziały szpitala, należałoby stworzyć całą książkę, stanowiącą jeden z wielu tomów życia w Oświęcimiu. Tu ujmijemy w krótkim zarysie oddział chirurgiczny wraz z salą operacyjną.

Salą operacyjną, *nota bene*, dobrze wyekwipowaną. Komplety narzędzi chirurgicznych („zorganizowane” z „Kanady”), stół i lampa operacyjna wykonane przez więźniów, niemniej jednak pełniące swe funkcje.

Tak jak cały szpital, tak i sala operacyjna były miejscem doświadczeń różnych „panów *Lagerarztów*” zdobywających tu praktykę, nie liczących się bynajmniej z życiem ludzkim. Tak więc dr Thilo (*Hauptsturmführer*) ginekolog. Na sali operacyjnej w obozie uczył się chirurgii. Wybierał ludzi z przepuklinami, hydrocelami itd., ludzi, którzy bez operacji żyli lata całe, aby wreszcie w obozie być operowanym dla kaprysu, dla zdobycia praktyki przez dr. Thilo, Königa, Mengelego lub innych. Aby ci następnie mogli rozprawiać o swych wspaniałych sukcesach, o swych nowych metodach. Metodach, których by na człowieku wolnym nie mogli się dopuścić. Ale uwięziony nie był w ich pojęciu człowiekiem.

Ludzi tych, wybranych przez siebie, operował p. dr Thilo sam, używając tylko jako asysty więźniów. Po zdjęciu im klamerek, a więc ludzi, którzy już przychodzili do swych pierwotnych sił, w parę dni później bez żadnych skrupułów spisywał ich numery, skreślając w ten sposób, już za ich życia, z listy osób żyjących, kwalifikował ich do gazu, jako już mu niepotrzebnych. Szczęściem dla tych wybrańców p. dr. Thilo lub innego było, jeżeli auta mające ich przewieźć ostatnią drogą w ich życiu, drogą do gorejących pieców krematorium, przybyły [już] w przyszłym dniu, co zdarzało się rzadko, albowiem najczęściej auta te przyjeżdżały

w parę dni, a niekiedy nawet w tydzień po selekcji. Czy można sobie wyobrazić mękę tych, którzy przecież jasno zdawali sobie sprawę z tego, że skazani są na śmierć, w czasie tego oczekiwania, kiedy minuty wydawały się wiekami całymi, kiedy na śmierć oczekiwano z niecierpliwością, żeby tylko przyszła jak najprędzej, żeby skróciła mękę wyczekiwania, kiedy drugim ich pragnieniem było najęść się do syta, nie iść głodnym do komory gazowej.

Nie wszystkich *Lagerarzt* operował sam, bardzo często w nocy lub w czasie jego nieobecności przynoszono wypadki nagłe (zapalenie wyrostka robaczkowego, uwięźle przepukliny, wypadki przy pracy itd.) nieszczęśliwi ci naprawdę potrzebowali pomocy. Pomoc tę dawali im już ich współtowarzysze niedoli, lekarze więźniowie. Operacje takie wykonywane były już bez „pomocy” p. dr. Thilo czy innego. Ratowano nimi życie setkom współwięźniów. Nie wszyscy jednak mogli swobodnie wrócić do zdrowia, ponad wszystko bowiem był p. *Lagerarzt* i jego selekcje.

Oto parę przykładów. Pewnego razu późnym wieczorem z lagru „A” (kwarantanny) przyniesiono na noszach chorego z postrzałem w brzuch. Był to Włoch, przybyły przed paroma dniami do KL, nieznający jeszcze dobrze stosunków obozowych. Wyszedł z bloku w czasie trwania „blockspery” (zakaz opuszczania bloku), za co przypłacił kulą w brzuch od gorliwego SS-mana. Zrobiono operację, okazało się, że kula przeszła w jedenastu miejscach jelito cienkie. Z otworów tych wydostawały się resztki pokarmu. Pewne było, że zapalenie otrzewnej, tak niebezpieczne, jest nieuniknione. Tak też było istotnie, na drugi dzień skonstatowano gorączkę 39°. O wypadku tym zameldowano *Lagerarztowi* (o wszystkich takich wypadkach musiano mu meldować), który wykazał, jak zresztą wszystkimi dlań nowymi sprawami, ogromne zainteresowanie. Czekano teraz, czy też chory „wyjdzie”, czy nie. Przez osiem dni zmagął się ze śmiercią. Po ośmiu dniach gorączka spadła, organizm chorego zwyciężył. *Lagerarzt* był do tego stopnia zainteresowany przebiegiem choroby, że sam przynosił choremu konserwy, kazał gotować dlań specjalną dietę. Ale tak jak wszystko z ich strony było obłudą, tak i to. Przyszedł dzień selekcji. I ten chory, który już przychodził powoli do zdrowia, został wybrany do gazu. Okres jego rekonwalescencji był już nieciekawym dla p. dr. Thila, trwałby zbyt długo, a byłby bezproduktywny. Tacy ludzie tym zbrodniarzom byli niepotrzebni.

Podobny wypadek. Pewnego dnia po południu przynoszą z komanda DAW (cementarzysko samolotów) chorego ze zmiążdżonymi powyżej stóp kończynami. Dokonano amputacji obu nóg. *Lagerarzt* także tym wypadkiem interesował się ogromnie. Poleciał roztoczyć nad



chorym pieczołowitą opiekę. Sam zapytywał go często o stan zdrowia, przynosił mu także konserwy, życząc rychłego polepszenia. „Polepszając” mu rychle jego stan przez wybranie do gazu. Człowiek bez nóg był w ich pojęciu balastem w obozie, nie nadawał się do pracy, a porcję chleba i zupy jadłby normalnie. Za drogo by to kosztowało „Wielką Rzeszę”.

Wypadków takich można by było opisać więcej, ale i te wystarczą do scharakteryzowania tych ludzi bestii, ludzi *Herrenvolku*, którzy gdyby zwyciężyli, spaliliby całą Europę, zostawiając tylko siebie.

DAW Deutsche Ausrüstungswerke WO 115408

Zeznaję zgodnie z prawdą.